

Tragedia ludzi i pies Cygan

Wspomina - WŁADYSŁAWA SZYMCZUK z domu Sumara ur. 21 IV 1926 córka Władysława i Teofili, zamieszkała przed zesłaniem w Jeziernej pow. Zborów, woj. Tarnopol.

Ojciec mój był Posterunkowym Policji Państwowej w Jeziernej do 1928r. Przeszedł na rentę. Kupił pięcio-hektarowe gospodarstwo rolne w Jeziernej. Wybudował dom i zabudowania gospodarcze.

W dniu 10 II 1940r we wczesnych godzinach rannych do naszego domu weszli: Żołnierz radziecki z karabinem i czterech Ukraińców. Żołnierz coś powiedział, ale nikt z nas nie znał języka rosyjskiego.

Mama myślała, że chcą nas rozstrzelać. Dostała szoku. Zaczęła krzyczeć: "Strzelaj w domu, nie będę dzieci wyprowadzać na mróz".

Wówczas Ukrainiec wyjaśnił nam, że nie będą nas rozstrzeliwać, tylko zawiozą na stację. Dali nam czas dwie godziny na spakowanie się.

Z siostrą Kazimierą zaczęłam pakować do worków rzeczy, a mama nadal w szoku wyciągała z worka i rozrzucała po mieszkaniu.

Zabrałyśmy: pierzynę, poduszki, kilimy, buty, głowę maszyny do szycia. Mąki pszennej, sześć bochenków chleba, który mama upiekła poprzedniego dnia. Siostra zabiła dziesięć kur i wzięłyśmy je z piórami. Wzięłyśmy naczynie - garnuszki, miseczki, łyżki. Ubranie miałyśmy tylko to co na sobie.

Wyszliśmy z naszego domu:

Władysław Sumara	ur.	1880	ojciec		
Teofila	"	ur	1891	matka	
Kazimiera	"	"	1921	córka Władysława i Teofili	
Władysława	"	"	1926	"	" "autorka ws.
Zenon	"	"	1928	syn	"
Aleksander	"	"	1935	"	"

Przed domem czekały dwie pary sań. Wsiadliśmy do sań i obstawa z nami. W domu pozostał nasz ulubiony pies Cygan. Mieszkanie zamknął Ukrainiec.

Zawieźli nas do stacji Jezierna. Wprowadzili nas do pustego wagonu towarowego. Były prycze, dziura w podłodze i piecyk żelazny, a obok trochę węgla.

Myśmy zajęli górne prycze.

W niedługim czasie wagon zapełnił się. Było nas około czterdziestu osób, w tym kilkoro dzieci w różnym wieku. Jechała z nami sąsiadka p. Mielnik z ^{Syrenem} ~~cerką~~, którą nie mówiła, nie chodziła. Dziecko upośledzone od urodzenia. Wagon zamknięto od zewnątrz, okna zakratowane.

Dopiero teraz zaczęłam myśleć. Znacznie wcześniej nasz pies Cygan siadał koło domu od strony wschodniej i często wył. Czy on czuł zbliżające się niebezpieczeństwo?

Po latach dowiedziałam się od dyżurnego ruchu, że jak myśmy byli zamknięci w wagonie w Jezierniej, to Cygan leżał pod naszym wagonem. Na tych torach zginął. - Jak wyszedł z zamkniętego domu?...

Po dwóch dniach czekania w Jezierniej pociąg odjechał.

Przez całą drogę dostaliśmy tylko trzy razy zupę /wiadro/ i po kawałku chleba.

W czasie podróży gotowaliśmy w samej wódzie kury, które zabrała siostra Kazia.

Wysadzili nas na stacji Perm. Załadowali nas teraz do ciężarowych samochodów /odkrytych/ i tak jechaliśmy dwieście kilometrów do Jurka. W Jurka przesiedliśmy się do sań i jeszcze sześćdziesiąt kilometrów w głąb tajgi.

Umieścili nas w długich barakach, gdzie były żelazne łóżka z siennikami. Przydzielono jedno łóżko na dwie osoby. Przykrywaliśmy się swoimi rzeczami. Dokuczały nam pluskwy, karaluchy, szczury.

W baraku byliśmy już wszyscy zawszeni.

Na drugi dzień, ojciec i siostra Kazia poszli do pracy w lesie. Dostali dwie siekiery i ręczną piłę. Ojciec dostał kufaj-

kę i spodnie watowane. Siostra tylko kufajkę. Kobietom spodni nie dawali. Uszyła sobie sama z worków zabranych z domu.

Za narzędzia i ubranie trzeba było zapłacić, odliczali z zarobków. W lesie pracowali wszyscy dorośli. W baraku pozostały tylko dzieci i osoby niezdolne do pracy.

Z mąki zabranej z domu mama gotowała kluski i tym się żywiliśmy.

Rozchorowałam się na anginę, uszy. Leków nie ma. Mama w tym czasie cierpiała bardzo. Wszedł jej karaluch do ucha.

Po kilku dniach od mojej choroby przyszedł kierownik do naszego baraku. Powiedział: "Kto narąbie drzewa i przyniesie do kuchni, dostanie szklanke słodkiej herbaty". Poderwałam się pierwsza-.

W domu ojciec nie pozwalał nam brać siekiery do ręki, byśmy sobie coś złego nie zrobiły. Pierwszy raz miałam w ręku taką dużą siekiere i z nią brnęłam po śniegu w tajgę. Nawet mnie to cieszyło. Tam w lesie jak machnęłam siekierą w kloc drzewa, to nie tylko ~~rozrabiłam~~ rozrabiłam kloc, ale przecięłam but i nogę. Wróciłam do baraku bez drzewa. Kucharz jednak przyniósł mi słodką herbatę.

W naszym baraku mieszkała trzypokoleniowa rodzina. Matka, jej dwóch synów z żonami i dziećmi, ./nazwiska nie pamiętam/

W ciągu dnia, gdy dorośli byli w pracy, babcia poprosiła wnuczka, aby naostrzył jej scyzoryk. W suszarni było takie urządzenie. Wnuczek w czasie ostrzenia scyzoryk złamał. Słyszałam jak babcia tym się zmartwiła. Ubolewała nad stratą scyzoryka.

Dała ponownie wnuczkowi jakąś blaszkę, aby naostrzył. Chłopiec naostrzył blaszkę i oddał babci.

Kobieta ta wyszła z baraku za szopę, podcięła sobie gardło. Widziałam to, bo zaraz za nią szłam.

W lesie pracował jej syn, ktoś zawołał. Zaraz syn przybiegł, wziął matkę za ręce, płakał, pytał: "Mamo dlaczego to zrobiłaś?" Matka za chwilę zmarła.

Pochowali ją na pagórku w lesie. Była to pierwsza śmierć w naszym baraku.

Kolejnym dla nas wszystkich ciężkim przeżyciem było, kiedy

w naszym baraku rodziła kobieta. Jej łóżko osłonięto prześcieradłem, ale w cierpieniu braliśmy udział wszyscy.

Po dwóch dniach moja mama poszła do komendanta, prosiła aby rodzicą zawieźć do szpitala. Komendant powiedział; że nie może -"niech sobie radzi sama". Mama odeszła.

Rozmowę tę słyszała żona komendanta. Przed barakiem podeszła do mamy, powiedziała że jest położną, ale nie może pomagać Polakom. Poradziła aby: "Rodzica gryzła swój własny warkocz bardzo mocno, w ten sposób szybciej urodzi".

Mama wróciła do baraku. Przekazała poradę żony komendanta. Rodzica gryzła własny warkocz, aż się zaksztusiła, ale syn się urodził.

Jakie były losy tej pani i dziecka nie wiem, bo w jesieni 1941r wolno nam było zmieniać miejsce zamieszkania i pracy, więc zamieszkaliśmy w wiosce Anankina. Tam w kółchozie tato zaczął pracować jako kowal.

Ja z siostrą w kółchozie wrywałyśmy pszenicę z korzeniami. Spod śniegu motykami wybierałyśmy ziemniaki. Obie z siostrą za dzień pracy zarobiłyśmy jedno wiaderko ziemniaków.

Ojcu za pracę płacili pszenicą lub jęczmieniem w małych ilościach. Mełło się to zboże na żarnach i z mąki mama piekła placki lub gotowała zupę.

Mieszkaliśmy w drewnianym domku, mieliśmy jedną izbę. W kółchozie tym ojciec naprawiał maszynę do wiania zboża. Kilka razy udało mu się ukryć w kieszeni trochę ziarna. Wydało się, bo kieszeń była dziurawa, jak ojciec szedł do domu ziarno wypało się - znaczyło drogę.

Tato bał się, że poniesie karę za kradzież ziarna, z tego powodu zwolnił się z pracy w kółchozie. Na własny koszt wyruszyliśmy w drogę w kierunku Permu.

Tato zrobił sanki na których wieźliśmy najmłodszego brata Aleksandra.

Rzeczy własnych z domu mieliśmy już mało, wszystko wcześniej zamienione zostało na żywność.

Mama na drogę w jakiś sposób nasuszyła sucharów. Z kółchozu

dali nam kawałek zamrożonej wołowiny.

Szliśmy cały tydzień. Na noc nie raz trzeba było zboczyć z drogi, dojść do chaty. Prosiłiśmy o nocleg. Spaliśmy zawsze na klepisku. Jak jeszcze rano dali nam gorącej wody, to było bardzo dobrze.

Mieliśmy po drodze burzę śnieżną, ale musieliśmy iść dalej duktem leśnym, aby nie zamarznąć.

W taki sposób doszliśmy do stacji Perm.

Czekaliśmy dwa dni, aby wykupić bilet. W dzień siedzieliśmy na stacji. W nocy nie wolno, więc chodziliśmy przed budynkiem całą noc.

Do pociągu wsiedliśmy, ale sanki, wiadro i miskę musieliśmy zostawić. Wolno było mieć z sobą tylko bagaż podręczny. Jechaliśmy etapami: Swierdłowsk, Czelabińsk. Tu wysiedliśmy.

Polski Związek Patriotów pomógł nam. Dostaliśmy pieniądze i kartki na chleb. Znow czekanie na dworcu w dzień, a w nocy przed dworcem i trzeciego dnia doszliśmy do biletu. Odjechaliśmy do Orenburga.

Polaków tutaj było bardzo dużo. Polski Związek Patriotów miał nas przewieźć do Taszkientu. W tym czasie wybuchła epidemia tyfusu. Cała nasza rodzina znalazła się w szpitalu. Ojciec zmarł w maju 1942r. My wyszliśmy pod koniec maja, tegoż roku. Mojej siostrze w szpitalu skradli sukienkę. Wyszła w koszuli dziennej, a na sobie miała płaszcz z kołnierzem futrzanym.

Polacy, którzy wyszli ze szpitala zamieszkali w wagonach towarowych - stały na bocznicach. Nie miałam siły wejść do wagonu, byłam tak słaba. Miałam wtedy 16 lat.

Polacy wracający ze szpitala, opowiadali nam, że ten samochód, który przywoził kapustę do szpitala zabierał zwłoki. Ludzi na tyfus umierało bardzo dużo.

Z grupą Polaków poszliśmy nad rzekę Ural, czekaliśmy na przystani na prom, aby się przedostać na drugą stronę i iść do wiosek za pracą.

Prom, na który myśmy się nie dostały, był tak załadowany ludźmi, że część z nich utopiła się na środku rzeki.

Nocowałyśmy na brzegu rzeki, a następnego dnia kupiłyśmy bilety i bezpiecznie przewieźli nas na drugą stronę.

Kierowca, za opłatą /zapłaciłyśmy smalcem jaki otrzymałyśmy z darów amerykańskich/ zawiózł nas do najbliższego kołchozu, wieś Pawłówka.

W kołchozie dali nam rano po jednym kilogramie chleba na osobę. Mysły się na ten chleb rzucili.

Zamieszkałyśmy w pustym walącym się mieszkaniu. Za to mieszkanie mama pomagała właścicielce zbierać "kiziaki". Czasem mama prała bieliznę za kawałek chleba. Miała na utrzymaniu dwóch synków.

Ja z siostrą Kazimierą chodziłyśmy ~~na~~ siedem kilometrów do prac polowych. ~~E~~ Wracałyśmy o zmroku.

W czasie żniw zawieźli nas do pracy na odległe kołchozowe pola. Spałyśmy pod gołym niebem. Rano dostałyśmy gorącą wodę do picia, w obiad kaszę na gęsto lub rzadko, na kolację też trochę kaszy i kawałek chleba.

Zboże na polu od razu się młóciło i wiało.

Po tej pracy podliczyli nasze zarobki i poinformowali, że więcej zjadłyśmy niż zarobiły. Jesteśmy teraz bez pracy i środków do życia. Wróciłyśmy do mamy do Pawłówki.

Z jedną z Polek poszłam zbierać kłosa /było to zabronione/. Nam się udało. Całe wiadro miałyśmy nakruszonego ziarna.

W powrotnej drodze spotkałyśmy siedzącego wilka. Ja nie zdałam sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Koleżanka natomiast tak głośno krzyczała, że wystraszyłam się jej krzyku. Wystraszył się chyba i wilk, bo odszedł, a my szczęśliwie wróciłyśmy do ~~domu~~ rodziny. Więcej już nigdy nie poszłam zbierać kłosów.

Zbliża się zima. Na opał zbieramy burzany. Z siostrą przędziemy wełnę, robimy sweterki, chodzimy po prośbie.

Światło w domu tutaj, to puszka z olejem zakryta blaszką, a z niej wystający sznurek - knot.

Uprosiłam w kołchozie, aby dali nam konia, byśmy mogły przywieźć sobie trochę drzewa na opał. Leśniczy nas spotkał, nie pozwolił zabrać drzewa, a powiedział: mamy szczęście, że za

karę nie zabiera nam konia. Przywiozłyśmy tylko takie drzewo, które ktoś zgubił po drodze. Była to dla nas ciężka zima.

W 1943r poszłyśmy do pracy w ogrodnictwie, które założyło wojsko. Mieszkamy w ziemiance, śpimy na ziemi. Jest nas trzydzieści osób tj. ja z siostrą sześć Rosjank i dwudziestu dwóch żołnierzy. W nocy na warcie jest zawsze jeden żołnierz.

Dostajemy trzy razy dziennie jeść, nawet mięso i chleb. Pierwszy raz od chwili deportacji najadłam się tutaj do syta.

Mama mieszka z braćmi w Pawłówce, choduje gęsi. Dostaje za tę pracę suchą kaszę i tym się żywi razem z synami.

W czasie pracy w ogrodnictwie podoficer radziecki chciał mnie zgwałcić, narobiłam krzyku - wyratowałam się.

W niedługim czasie od tego przykrego zajścia, zachorowałam na malarię. Miałam dreszcze i gorączkę. Leżałam w ziemiance na ziemi, bez jakiegokolwiek opieki lekarskiej.

Z pracy przyszła też chora Rosjanka Kłaudia, położyła się przy mnie. Czułam jej chłodne ciało. Spałyśmy w ciasnocie takiej, że jak jedna odwracała się, to samo musiała robić druga.

Rano jestem zdziwiona dlaczego Kłaudia się nie odwraca. Z przerażeniem stwierdziłam, że Kłaudia zmarła.

Wówczas przywieźli lekarza i prokuratora. Lekarz dał mi chininę.

Zmarłą Kłaudię zabrali rodzice do wioski.

Po kilku dniach wróciłam do pracy w ogrodnictwie. Ogród miał owocować: pomidory, ogórki, kapusta. Nas zwalniają z pracy. Dyrektor ogrodnictwa powiedział nam, że jesteśmy niewiarogodni.

Wracamy do mamy do Pawłówki. Siostra Kazimiera dostała powołanie do wojska do Armii Berlinga.

Ja zbieram burzyny na opał na zimę. Mama pilnuje z synkami pola, gdzie rosną arbuzy. /jedyne owoc, który jedliśmy na zesłaniu

Nie była to praca łatwa. Musiała biegać po polu, spędzać ptaki. Okoliczni ludzie też rozkradali arbuzy.

Z chwastów zrobiła sobie na polu arbuzów szałas i w nim koczowała.

Za tę pracę dostała co dzień pół litra mleka i pół litra suchej kaszy.

Ja w jesieni dostałam się do pracy w stołówce ośrodka maszynowego. Byłam pomocnikiem kucharza. Gotowałam raz dziennie zupę z kiszanej kapusty, kiszonych ogórków, pomidorów, a do tego kilka ziemniaków. Rąbałam drzewo, myłam podłogi. Zarabiałam trzydzieści rubli miesięcznie. "Cegiełka" chleba cena czarnorynkowa czterdzieści rubli.

Chleba dziennie w pracy powinna byłam dostać sześćdziesiąt dkg, ale że nie było chleba, to otrzymywałam sześćdziesiąt dkg, mąki. Tak pracowałam do wiosny 1944r.

Na wiosnę 1944r kierownik ośrodka maszynowego zorganizował kilkunastoletnie dzieci, inwalidę wojennego /mężczyznę siedemdziesięcio letniego/, dwie traktorzystki i mnie. Jest nas dwadzieścia dwie osoby.

Kierownik dał nam do dyspozycji dwa traktory złożone wcześniej ze złomu, benzynę do traktorów, jedną parę wołów i zboże na zasiew odłogów. Nie uzgodnił tego z władzą radziecką - zarządził samowolnie.

Dostałam jeszcze małą beczkę kapusty i kaszę jaglaną. Pojechaliśmy zaorać i obsiać step w pobliżu rzeki Ural.

Na polach były łąty śniegu. Nocowaliśmy pod gołym niebem, później zrobiliśmy sobie ziemianki. Spaliśmy na burzanach. Na ognisku gotowałam kaszę. Wodę braliśmy z Uralu.

Dla Dyrektora Ośrodka Maszynowego, robiłam sprawozdanie z wykonanej pracy co pięć dni, na papierze pakowym. Pisałam atramentem. Zawoziłam sprawozdanie, a przywoziłam trochę żywności.

Traktorzystki zasiały pszenicę, proso i jęczmień.

Po obsianiu pól pojechaliśmy na sianokosy. Raz dziennie gotowałam kaszę jaglaną, a pod kociołkiem paliłam sianem, tutaj nie było żadnych krzewów. Mieszkałyśmy pod wozem.

Po sianokosach wróciliśmy na obsiane przez nas pola na żniwa.

Zbieramy najpierw jęczmień, który zaraz się wymłóciło na polu. Zboże zmełłam na śrutowniku w bazie i z tej mąki rosjanka we wsi upiekła chleb, Zawiozłam w pole chleb i mąkę na kluski dla robotników przy żniwach. Z mąki tej ugotowałam zupy. Najadłam się

zupy i chleba ościstego - myślałam, że skończy się to skretem jelit.

Przy zbiorze pomagali ludzie z wioski. Moja mama też pracowała. Ludzie pracowali na tej zasadzie, że dziesięć snopków zbierze dla bazy, a jedenasty snop dla pracującego.

Na polu od razu zboże się młóciło, ludzie byli zadowoleni, bo zarobili sobie dużo ziarna. Dostali zaraz swoją część. Resztę zboża oddaliśmy kierownikowi bazy.

Było nam tylko przykro, kiedy starszy człowiek zmarł z sierpem w ręku z przemęczenia.

Dowiedziała się władza radziecka, że bez zezwolenia obsialiśmy pole. Przyjechali, zabrali ziarno z ośrodka maszynowego.

Do mnie przybiegł w nocy stróż i uprzedził, abym się do niczego nie przyznawała, jeśli zaczną pytać. Skończyło się tylko na strachu, nie wzywali na przesłuchanie.

I oto pierwsza zima, w której mamy zapas kaszy jaglanej! Tylko nie mamy opału, aby można było tę kaszę ugotować.

Rozchorowałam się ponownie na malarię. Nie mam leków. Mam bóle głowy, wyciek z uszu.

Brat Zenon zaczął pracować jako pomocnik kierowcy, mama chodzi po prośbie.

W mieszkaniu jest tak zimno, że woda w wiadrze zamarza. Dostałyśmy mały pokój u p. sekretarza partii ośrodka maszynowego. Było to mieszkanie nieco cieplejsze.

Mama w zamian za mieszkanie p. sekretarzowi prała bieliznę, sprzątała. Czasem dostała trochę gałęzi, można było ugotować kaszę.

Byłyśmy już tak obdarte z bielizny, ubrania, że miałyśmy tylko jedną koszulę na nas dwie. Czasem w tej koszuli chodziłam mama, a czasem ja.

Byliśmy zmuszeni iść prosić o drzewo na opał. Poszłam z bratem do leśniczego. Drzewa nie dał, ale powiedział, że jak przyjdę do niego na służbę, to mama będzie miała drzewo.

Wróciliśmy do mamy z tą wiadomością i po dwóch dniach poszłam do leśniczego na służbę.

On tego samego dnia zawiózł mamie drzewo.

Leśniczy miał dwóch synów w wieku 6-ciu i 5-ciu lat. Mieszkał w dużej izbie z piecem. Była także spiżarnia, a w niej mąka, kasza.

Rano leśniczy wychodził do pracy, a ja opiekowałam się dziećmi, sprzątałam w mieszkaniu, gotowałam.

Po kilku dniach zauważyłam, że leśniczy jest zadowolony z mojej pracy. Ja również. Mam ciepło, jedzenie, a moja rodzina opał.

Leśniczy powiedział mi że zbliża się czterdzieści dni od pogrzebu jego żony. Poprosił, abym przygotowała poczęstunek na określony dzień.

Upiekłam chleb na kwasie, ziemniaki gotowane w łupinach i zupa. /Kasza jaglana - ziemniaki/

Zaproszone przez leśniczego kobiety przyszły, przyniosły z sobą łyżki. Wszyscy jedli ze wspólnej misy. Później modlili się za zmarłą i wspomniano ją.

Wreszcie jedna z kobiet nadmieniła, że ma dla leśniczego kandydatkę na żonę. Na co on obruszył się.

Leśniczy rano zaproponował mi, że przywiezie mego braciszka Aleksandra, aby z nami zamieszkał. Ucieszyłam się jak wieczorem zobaczyłam brata.

W kilka dni zrozumiałam jakie ma zamiary leśniczy w stosunku do mnie. Opowiadał o założeniu wspólnego gospodarstwa. Zapewniał o dobrobycie jaki u niego będę miała.

Z tej opresji wybawiła mnie choroba. Dostałam gorączki, prosiłam leśniczego, aby nas z braciszkiem zawiózł do mamy. Niechętnie, ale odwiózł nas do mamy.

Od tej pory nie poszłam już do pracy. Żyliśmy resztkami kaszy jaglanej.

Z Urzędu Patriotów Polskich w Czkałowie dostała mama mleko w proszku, konserwy rybne.

W sierpniu - wrześniu 1945r zapisywali nas na wyjazd do Polski. Robiliśmy zdjęcia.

W marcu 1946r zawiadomiono nas Polaków, aby zgłosić się

w Czkałowie na wyjazd do Polski.

Znów do wagonów towarowych, ale teraz bez dziury w podłodze. Załatwialiśmy się do wiadra.

Na drogę dali nam suchy prowiant, a później tylko na stacjach braliśmy sobie gorącą wodę.

W Medyce radzieccy żołnierze weszli do wagonu powiedzieli, aby przygotować się do rewizji osobistej. Zarządzali zwrotu dokumentów w języku rosyjskim. Wszyscy oddali dokumenty. Rewizji nie robili.

W Polsce byliśmy 11 V 1946r.

Za zgodność: _____

Władysława Sumara-Szymczuk
Władysława Sumara-Szymczuk
58-371 Boguszów
ul. Browarna 3/5

Boguszów 18 V 1990r

Wspomnienia spisała
Czesława Tarnawska
Czesława Tarnawska